

4 maja, 4 grudnia. Sześć miesięcy. Mniej więcej jedna szóstą ram czasowych trzyletniego kontraktu Mourinho z Romą. Od ogólnego zdumienia po zdrowy entuzjazm, od szalonej chęci rozpoczęcia nowej ery, po świadomość, że na stadionie, na to, co niewiele widać, kradnie się chwile meczu, żeby na niego popatrzeć, w jego strefie, przed ławką, żeby przekonać się, że to nowy admirał.

Od początku, złożonego wyłącznie ze zwycięstw, do poślizgu, prędzej czy później musiało do niego dojść, w Weronie, od przeklętych derbów po burze wywołane w dużej mierze niefrasobliwością sędziego, a potem nagły wypadek, dzwonek alarmowy w Norwegii przypominający, że zwłoki, które zamknęliśmy w szafie prędzej czy później w końcu zawsze zaczynają śmierdzieć i pojawia się nowy koszmar, bo świetny ruch prezesa który zatrudnił wielkiego fachowca, okazuje się że nie zawsze wystarcza, by mieć gładki spokojny lot. Potem taktyczna reorganizacja i pozornie odkryta na nowo stabilność. A potem zaciemnienie w Bolonii, które zapowiadało bierność sobotniego popołudnia, 4 grudnia, zakończonego drugą połową, w której Inter trenował w perspektywie Ligi Mistrzów robiąc przed-meczowy rozruch ćwicząc sobie wszystkim znaną grę w "dziadka".

Sześć miesięcy, mniej więcej sto osiemdziesiąt dni próbowania otrząśnięcia się z entuzjazmu. Ci, którzy nie znają Romy, są zaskoczeni miłością tych, którzy chodzą na stadion. Chór, który rozbrzmiewa w mediach społecznościowych, był śpiewany również mniej więcej trzydzieści lat temu, kiedy było jeszcze gorzej, kiedy na ławce siedzieli na zmianę Bianchi, Boskov i Mazzone, a Stefano Pellegrini i Silvano Benedetti próbowali wiązać koniec z końcem na boisku.

Następnie mamy tabelę ligową. Liczby które potrzebują poprawy, nawet jeśli zdajemy sobie sprawę z oczywistych ograniczeń strukturalnych. Można przegrać z Interem, ale nie w taki sposób. Banalna koncepcja, ale realistyczna. Nie można przegrać z Bologną w taki sposób, jeśli wcześniej przegrało się, również z powodu sędziego, z Wenecją, Milanem i Juventusem. Ale tym razem sędziowie nie mają z tym nic wspólnego. Istnieje ryzyko, że kurtyna opadnie przed końcem jednego z najgorszych lat kalendarzowych w ostatnich czasach, który rozpoczął się od inercji dobrej pierwszej połowy ubiegłego sezonu, która pozwoliła Romie Fonseci żeglować aż do marca, gdy wiatr zniknął i pozostawił zespół, który wyglądał jak tratwa szukająca ratunku na morzu.

Mourinho przyjeżdża, a ty myślisz, że jak na pokładzie luksusowego jachtu, bezpiecznie przepłyniesz morze. Zamiast tego Roma nabiera wody, ale nie tonie, bo właściciel nie przyjechał do Włoch, żeby mu sprzedano fontannę di Trevi, jak w filmie Totò, choć przejął firmę, która się rozpadła. Ale życie dyktuje, że nie możemy zawsze obwiniać tych, którzy byli wcześniej. Zdarza się to w każdej sferze, nawet jej burmistrzom. Daje ci czas na zrozumienie i poznanie rzeczywistości, w której się znalazłeś, daje ci okoliczności łagodzące zaraz po wejściu na most, ale także czyni cię odpowiedzialnym.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek Giallorossi są odpowiedzialni za zmianę kierunku. Ma ją Friedkin, ma ją Mourinho, bo to naturalne, że od kogoś takiego jak on oczekuje się tak wiele, ma ją też Tiago Pinto, który w styczniu musi stać się kluczowym zawodnikiem. Nie trzeba dodawać, że zimowe okienko transferowe będzie musiało częściowo wypełnić luki, które trzy i pół miesiąca Serie A bezlitośnie uwypukliły. Właściciele podejmują wysiłki, które niewielu byłoby w stanie udźwignąć. Zastrzyki pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, każdego miesiąca, aby zapomnieć o klęskach ostatnich dwóch lat pod kierownictwem tego Pallotty, który jest teraz gadającym świerszczem, z tym złym smakiem typowym dla byłych prezydentów, którzy nie ograniczają się do wyrażania opinii, ale czują się uprawnieni do sugerowania, jak powinniśmy się zachowywać.

Żałosna załona. Nie ma sensu tracić czasu na rozwodzenie się nad przeszłością. Pallotta odszedł, Sabatini odszedł, nie ma tu żadnego z poprzednich trenerów. Teraz jest Friedkin, jest Mourinho i jest Tiago Pinto. Pozostali specjaliści w Romie, która od lat pozostaje portem morskim pomiędzy przychodzącymi i odchodzącymi menedżerami, nie będąc w zarysie, nie mają istotnego wpływu na żywotność technicznej teraźniejszości. Oczywiście Kante, Benzema i Rudiger nie przyjdą w styczniu, ale grzechem śmiertelnym byłoby nie pracować nad poprawą drużyny. Zespół nie może mieć wiecznych alibi determinowanych przez braki strukturalne. Bo od tej drużyny, od Zaniolo do Veretouta, od Mkhitarjana do Manciniego, i od tego trenera, zasadne jest oczekiwanie więcej.

To, że nie jest tak mocny jak pierwsze cztery, było mniej lub bardziej oczywiste. Niedopuszczalne byłoby pogrążanie się w porażce. Na początku sezonu pokazał silną tożsamość, solidność psychiczną i pragmatyzm, potem na boisku zaczęła dominować nerwowość, która w sobotę ustąpiła miejsca niepokojącej pustce. Roma przeciwko Interowi wyglądała jak półamatorska drużyna z mediolańskiego zaplecza powołana na mecz towarzyski, który służy przeciwnikom do naostrzenia broni w perspektywie ważnego spotkania, a których prosi się o nie zadawanie ciosów, aby nie zranić przygotowujących się do tego wyzwania piłkarzy. Technicznie dużo gorsi od Interu. Niepokojąca bierność. Jeśli z jednej strony mamy mocne przekonanie, że na ławce znajduje się najlepszy możliwy fachowiec do wznowienia żeglugi, to z drugiej strony mamy pewność, że nie można tracić więcej czasu. W styczniu, wiele będzie zależało od dostępności zasobów i umiejętności dyrektora generalnego. Bo oprócz ligi do rozegrania, będą jeszcze dwa puchary, w które trzeba będzie celować. A wyniki, nawet w pucharach, zawsze robią różnicę. Gardzenie na pozostałe dwa puchary jest czymś, czego nie powinno się robić. To właśnie tam często dochodzi do wielkich przełomów.

Autor: Burdisso